

BOHATER Z BLISKĄ

ZASŁUGA dla — POLSKI

Pułkownik
**RYSZARD
KUKLIŃSKI**
opowiada
swoją historię

ANDRZEJ KRAJEWSKI
opisuje jego sprawę

Posłuchaj, co mówił
JACK STRONG

Wydawca:

Wydawnictwo e-bookowo

Współwydawca: **AJK Media Andrzej Krajewski**

Zdjęcie na okładce: **Andrzej Krajewski**

Projekt okładki: **Gedali Białowàs**

Łamanie: **Jan Rokicki**

Redaktor: **Zuzanna Csatò**

Korekta: **Joanna Słojewska**

ISBN 978-83-7859-275-4

W okresie, kiedy zacząłem moje spotkania z Amerykanami, oni stracili wiarę w jakąkolwiek obronę z powodu katastrofy w Wietnamie. Stracili tam tyle sił, tyle zasobów, że jako społeczeństwo byli psychicznie niezdolni do obrony. Próbowałem ich obudzić, wskazując na realne zagrożenia. Krytykowałem Zachód, bo nie tylko przestał iść do przodu, ale wręcz włączył wsteczny bieg. Kiedy Sowieci wystąpili z koncepcją zmasowanego, szybkiego uderzenia, które sparaliżowałoby użycie broni jądrowej na terenie Niemiec, to Niemcy i Holendrzy zaczęli występować przeciwko rozmieszczeniu tej broni na ich terytoriach. A to oznaczało, że musi być przyjęta inna koncepcja wojny nuklearnej.

Zachód miał techniczne możliwości opracowania nowoczesnych broni konwencjonalnych, takich jak „assault breaker”, który był zdolny zniszczyć 600 czołgów w ciągu 24 godzin.¹ To wprowadziłoby jakościową zmianę na polu walki. Ten system nigdy nie został ujawniony, więc nie chcę tego dalej komentować, ale wywiad bloku wschodniego donosił nam o nim. Inny przykład: bomby penetrujące schrony. I tak dalej, i tak dalej. Nie miałem żadnego bezspornego dowodu istnienia sowieckich planów ataku na zachodnią Europę, ale przecież do takiego niespodziewanego ataku Sowieci stale trenowali swoje i nasze wojska. Założenie ćwiczeń, które przez tyle lat przygotowywałem, było co prawda inne: to my odpowiadamy na atak NATO, ale Sowieci nie bawili się w taką ostrożność. Stwierdzali krótko: „Międzynarodowa obstanowka bystro obostrielas” - sytuacja międzynarodowa gwałtownie się zaostrzyła. I dalej następowały już rozkazy, co należy robić.

Wszystko wskazywało więc na to, że taki plan istniał. A jeśli był plan – to jego wykonania nie można było wykluczyć. Był plan Fall Weiss – i była niemiecka wojna 1939 roku z Polską; był plan operacji Barbarossa - i był niemiecki atak na ZSRR; był plan stanu wojennego - i został wprowadzony 13 grudnia 1981 roku. Natomiast sowiecki zamach stanu z lata 1991 roku zrobiony był bez planu - i się nie udał.

Nie mogę więc powiedzieć, że przekazałem Amerykanom kompletne radzieckie plany wojenne, ale na pewno poważną ich częścią było strategiczne rozwinięcie sił zbrojnych Układu Warszawskiego do wojny, radziecki plan mobilizacyjny drugiego rzutu, który znajdował się za wschodnią granicą Polski. Znałem też radzieckie plany wojenne pierwszego rzutu, który stacjonował w Niemczech - jak zostaną użyte, w jakim ruszą kierunku.

Dostarczyłem też Amerykanom informację techniczną o nowoczesnym radzieckim uzbrojeniu. Tu jest pewne nieporozumienie: można łatwo powiedzieć, że to było niemożliwe, bo dokumentacja nowoczesnego czołgu T-72 to wagon papieru. Takiej dokumentacji Amerykanie oczywiście ode mnie nie dostali. Ale ja siedem lat wcześniej wiedziałem o planach uzbrojenia wszystkich armii Układu Warszawskiego, znałem cały program wyścigu zbrojeń, łącznie z tym, co było na deskach kreślarskich czy w próbach. Dzięki moim informacjom Zachód wiedział, jaki czołg jest w produkcji, zanim poznał jego główne dane techniczne.

Inaczej było u Sowieców. Oni rzeczywiście potrzebowali wagonu dokumentacji zachodnich nowych broni. Szczególnie elektronicznych, bo mieli problemy ze swoim zapleczem

¹ System wykrywania i niszczenia czołgów za linią frontu.

naukowo-technicznym. Amerykanie nie potrzebowali kopiować nowych systemów broni, musieli tylko wiedzieć, jak na nie reagować.

Często Amerykanie chcieli wiedzieć, w jakim kierunku idą zmiany techniczne wprowadzane przez Sowieców. Na przykład: Sowieci zbudowali czołg z pancerzem trudnym do przebicia z przodu, ponieważ obliczali, że artylerii najłatwiej było uzyskać „strzał bezwzględny”, czyli trafienie wprost. Ale ponieważ taki czołg był ciężki z przodu i z boku, to od góry miał jedynie „skórkę”. I to była ta najważniejsza informacja potrzebna po to, żeby pojawił się NATO-wski samolot A10A służący do niszczenia czołgów z powietrza.

Ja nie miałem do czynienia z radzieckimi sprzedawcami broni; moimi rozmówcami byli oficerowie sztabowi i liniowi, którzy chcieli mieć dobrze wyposażonych sojuszników. To oni mówili mi: „Tego nie kupujcie, bo to nic nie warto, sami nie chcemy tego kupować”. Albo: „Tego nie kupujcie, bo jest już coś lepszego, wchodzi za dwa lata”. Podejście handlowców z przemysłu zbrojeniowego było zupełnie inne - chcieli nam wcisnąć przede wszystkim to, czego Armia Czerwona brać już nie chciała.

Tak było z zakupem rakiet SAM do systemu obrony przeciwlotniczej. W 1976 roku Sowieci starali się nam je wepchnąć, przed czym broniliśmy się, wiedząc że mają już system nowocześniejszy. Zmusili nas jednak do kupna tych starych rakiet i to w ogromnej ilości, do pełnych zapasów wojennych. Zaledwie rok później dowódca obrony powietrznej ZSRR i Układu Warszawskiego marszałek Kołdunow przedstawił nową ideę obrony przeciwlotniczej i zalecił usunięcie SAM-ów z naszego arsenału. Teraz polecili nam system S-200 Vega, rakiet o zasięgu rażenia 200 kilometrów.

Te również kupiliśmy niechętnie, bo były drogie i niezbyt nowoczesne. Kiedy jednak chcieliśmy je rozmieścić wokół Warszawy, Sowieci nie zgodzili się i polecili zainstalowanie ich na Pomorzu, w rejonie Mrzeżyna. Dlaczego? Nie chcieli wyraźnie powiedzieć, ale przyjrzenie się mapie dawało odpowiedź. S-200 Vega były tam potrzebne do zamknięcia obrony Bałtyku przed rakietami odpalanymi z Danii w kierunku Związku Radzieckiego. Potrzebne były nie Polsce, ale Sowiecom! Miałem zatem dokładną charakterystykę S-200 Vega i przekazałem ją Amerykanom, łącznie z systemem sterowania. Przekazałem także radziecki system kodowania informacji - oczywiście znowu nie dokumentację produkcji maszyn kodujących, ale ich istotne szczegóły techniczne.

Jeśli chodzi o „Albatrosa”, czyli system trzech bunkrów dowodzenia zbudowanych w latach 70., to znałem ich dane techniczne: grubość betonowych murów, ich głębokość, sposób zawieszenia metalowego pomieszczenia dowództwa i w przybliżeniu lokalizację, z dokładnością do jednego kilometra. Te bunkry mieściły około 30 osób - głównodowodzącego i jego bezpośrednią obsługę. System łączności był instalowany na czas użytkowania bunkra.

Jeśli chodzi o ten na południu, moje informacje były mniej precyzyjne, ale Amerykanie dostali je z innego źródła. Kiedy tu przyjechałem spytałem ich:

- Czy zlokalizowaliście wszystkie?

- Tak - usłyszałem.

O polskim, oczywiście, wiedziałem najwięcej, ale poza tym, że położony jest na Dolnym Śląsku w okolicach Opola, nie chcę nic mówić, bo być może jest teraz wykorzystywany zgodnie z polskimi interesami.²

W sumie przekazałem Amerykanom o wiele więcej niż 35 tysięcy stron dokumentów. Jak byłem w stanie to zrobić? Nie mogę o tym mówić, mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałem prokuratorowi: nigdy tych stron nie liczyłem, nie były dla mnie ważne, ważna była ich zawartość. To Amerykanie liczyli, bo lubią liczby. Mają specjalny sejf z tymi dokumentami, mam teraz do niego dostęp. Byłem dla nich instrumentem wczesnego ostrzegania, wcześniejszym od satelity. Mogłem powiedzieć im o sowieckiej gotowości do ataku. W tej sprawie byłem jednym z kluczowych źródeł. Nigdy niczego nie chciałem za to, co robiłem i nigdy nie pytali mnie, czego bym chciał. Prowadziłem przez te lata prywatną korespondencję z Davidem Fordenem. On potrafił pięknie, wzruszająco pisać.

Miałem taką wiadomość od niego, w której pisał, że chciałby móc kiedyś pokazać mi Stany Zjednoczone. Odpisałem mu, że jeśli to w ogóle będzie możliwe, to chyba kiedy już będę na emeryturze i wybiorę się w moją wymarzoną jachtową podróż dookoła świata. Może wtedy, na kilka dni, będziemy mogli się spotkać gdzieś w Stanach, żebym mógł poznać jego rodzinę, żonę, synów. Ja naprawdę nie byłem zainteresowany wyjazdem do USA.

TRAKTOWALI MNIE JAK PRZYJACIELA

Pierwsze urządzenia komunikacyjne, które dostałem były stosunkowo proste. Sądzę, że wtedy jeszcze do końca mi nie wierzyli. W ostatnim okresie, kiedy używałem już skomplikowanych środków łączności, porozumiewałem się między innymi w taki sposób, że nadawałem z wieży kościoła św. Anny w Warszawie, a osoba, która nagrywała moje informacje przebywała w kościele 100 metrów ode mnie. Jednak większość informacji przekazywałem w formie pisemnej. Opracowując je, korzystałem z materiałów oryginalnych, a częściowo z kopii. Do tego używałem technik, o których nie mogę mówić, albo korzystałem z własnych opracowań robionych na podstawie dostępnych mi oryginałów.

Napisałem 400-stronicowy raport o planowaniu zbrojeń przez Sowietów. Przekazałem go w jednym odcinku, technika na to pozwalała. Pisałem go także w pracy, gdzie nikt nie miał prawa pytać, co robię. Prosił mnie, żebym żadnych informacji nie podpisywał swoim nazwiskiem, tylko pseudonimem: Jack Strong. W razie zagrożenia te dwa słowa miały mi otwierać wszystkie drzwi.

Był taki moment, kiedy chciałem polecieć do Stanów Zjednoczonych i przedyskutować sprawę współpracy z Amerykanami w Pentagonie. Zrezygnowałem z tego, wolałem, żeby robota została wykonana i oceniona przez tych ludzi. Dla mnie nie było konieczne spotkanie się z sekretarzem obrony.

² Zbigniew Brzeziński ujawnił, że: „Informacje Kulińskiego umożliwiły nam przygotowanie planów zniszczenia systemu dowodzenia i kontroli, zamiast zmasowanego kontrataku na czołowe pozycje przeciwnika, co uderzyłoby w całą Polskę”. (Benjamin B. Fisher „Utracona część pułkownika Kuklińskiego”, „Rzeczpospolita” 23-26.12.2000, s.A8).

Od samego początku traktowali mnie jak przyjaciela, a nie tylko jako źródło informacji. Ratunkowy plan wyjazdu z Polski na wypadek zagrożenia dostałem od razu. W operację miało być zaangażowanych wiele osób, które nigdy mnie nie widziały i nie miały pojęcia o moim istnieniu, dlatego potrzebny był mój pseudonim, właśnie Jack Strong. W razie niebezpieczeństwa miałem szereg numerów telefonicznych, pod które miałem dzwonić i kilka innych sposobów wskazania, że jestem w opałach. Mogłem też bez ostrzeżenia wejść do ambasady amerykańskiej i powiedzieć, że szukam Jacka Stronga lub, że jestem Jack Strong. To miało wystarczyć. Pod koniec mojego działania miałem nawet klucz do drzwi w ambasadzie, nie do frontowych, ale jednych z bocznych.

Plany ewakuacyjne zmieniały się w ciągu lat współpracy z Amerykanami, ale nigdy nie obejmowały mojej rodziny. Żartowałem, że chodzę po polu minowym i jeżeli złapią mnie na gorącym uczynku, to nie będę miał czasu na powiadomienie kogokolwiek. Byłem świadom zagrożenia, jakie rodziła ta współpraca. Od początku patrzyłem już nie tylko przed siebie, ale i przez ramię. Czasami jechał za mną dziwnie wyglądający samochód, ale zdawałem sobie sprawę, że tego nie upilnuję, bo mogli używać nawet kilkudziesięciu samochodów. Byłem ostrożny, ale nie miałem obsesji. Uważałem, że kontrolowanie mnie co pewien czas było normalne, bo przecież należałem do grupy ludzi, którzy wiedzieli bardzo wiele.